

# Wieczór w Klubie Seniora. Antybaśń

Andrzej Ficowski

Wylecieć trzeba ani za wcześnie, ani za późno.  
Ten, kto wyleci wcześniej, zginąć niechybnie musi.

Józef Piłsudski  
przemowa na zjeździe Legionistów (1926 rok)

Tuż za mostem Pomorskim, idąc od prawej strony wodospadu w kierunku dworca Nadodrze, zaczął mnie młody mężczyzna i oznajmił, że za pół godziny odbędzie się niedaleko stąd jedyna w mieście prelekcja o wiośnie. Wiedziałem tyle, że okolice dworca to biedna dzielnica Wrocławia, w której niewiele kamienic może sobie pozwolić na luksus koloru. Słyszałem, że w kwartale ulic kondensuje się skrzyżowanie agresywnego kapitalizmu z prowincjonalną tandetą, że z tamtych okolic pochodzą prawdziwi sztajmesi, o których można powiedzieć tyle, iż są ze śródmieścia, czyli trochę z bajki. Wiedziałem również, że w gęstym lesie czarnych czynszówek nowoczesny świat jakby nie zaistniał, czas się zatrzymał, a chlubą dzielnicy jest alkoholowy market Drink Halle, w którym można kupić świetną Pepinową Desitkę z podobizną samego Bohumila Hrabala.

Po zamienieniu kilku grzecznościowych słów w prawej dłoni mężczyzny zobaczyłem mleczną różdżkę, stukającą o szare płytki bruku. Był to przedmiot przypominający antenę samochodową, wibrujący raz mocniej, raz słabiej, w zależności od natężenia wiatru. Jak po czasie się okazało, z racji na dłonie

pomarszczone jak twarz staruszki, Roman to „wróżbita”, a plotka w dzielnicy głosi, że pod koszulą skrywa zwiędłą pierś starej kobiety. Niemniej złośliwi mówią, że jest „dupą wołową”, niewybrednie nawiązując do miejsca urodzenia przewodnika, a tak naprawdę zazdroszcząc Romanowi genialnej znajomości miasta, gdyż przewodnik wszystko koncertowo płącze, przestawia, miesza. W opowieściach Romana miasto jest bez obwodu, a jego centrum czai się za każdym rogiem, przy każdej oficynie, nawet w największej zadupni kwartału ślepa uliczka pędzi gdzieś w nieskończoność, ledwie zaczęta. Gdy dotarliśmy do Klubu Seniora Polskiej Akcji Pomocy Humanitarnej, przy bramie stał już strażnik, który rześko nam zasalutował i wdrapaliśmy się na trzecie piętro kamienicy. To było jak zesłanie w nieznaną kraj, w którym rządzi samotność.

Wszedłem do przyciemnionej salki. Na ścianach ujrzałem dyplomy, certyfikaty i zakurzone proporce znane mi co najwyżej z kanciap prowincjonalnych działaczy sportowych, mężczyzn, którzy w życiu nie wzbudzą już zaufania. Na drzwiach toalet wisiały lustreczka, ale w toalecie luster nie było, z kolei kolorowy wianek z bibuły przyozdabiający toaletę na korytarzu okazał się wiankiem z plastiku, a wiatraczki kolorowymi kwiatami, które były również zakurzone jak proporce. Moja percepcja zatoczyła koło.

W małej salce ścisnięci seniorzy czekali na prelekcję Romana. Stojąc w dresach, ze złotymi łańcuchami na starych karkach przypominali zawodników głębokiej rezerwy, drużynę, która musi przegrać, a z niewiadomych względów oczekuje na wyjazd do kraju młodości. W milczeniu czekaliśmy razem.

Prelekcja rozpoczęła się punktualnie o 21.00. Przewodnik wyciągnął z małej szafki magnetofon „Smaragd” ZK 120 mono, z którego przed laty puszczano szlagiery. Usłyszeliśmy relaksacyjną muzykę, nieobecne dźwięki przeszłości. – Pozwolą Państwo, że się przedstawię – powiedział mężczyzna. – Jestem aktywistą akcji humanitarnych i przewodnikiem miejskim. Fakt, że przed laty straciłem wzrok, pomaga mi w przepowiadaniu przyszłości i tłumaczeniu przeszłości. Słucham języka ptaków i nie będę ukrywał, że żyję dzięki wielko duszności mojej parafii. Jak żartobliwie mówię znajomym, jestem przedstawicielem jedynej na świecie placówki pomagającej duchom. Pochodzę z sierocińca spod Wołowa i biegle interesuję się fotografią. W trakcie wywoływania zdjęć popadam w stany absolutnego widzenia, wpadam w czarny czas, zauważając również, że niezrozumienie poza słowem spoczywa. Mimo że nie widzę, potrafię odmienić wszystkie przypadki fioleto zapisanego na wiecznym polu.

Na dzisiejszym spotkaniu chciałbym przedstawić Państwu historię tegorocznej wiosny, która moim skromnym zdaniem była ciekawsza od wszystkich wiosen wcześniejszych. Tej wiosnie zawdzięczam wiele olśnień, czarniejszych od niejednego odcienia rozpaczy, gdy pożądanie z wyrozumiałością się płącze. Była to wiosna napisana czarnym atramentem, zrodzona z widoku kobiet zbierających drewno na pustej działce, widok wypalonej trawy i zdeptanych mleczy.

10 kwietnia poczułem się jak młodociany modelarz, a nie jak miejski przewodnik. Moja pamięć podsunęła mi obrazy z podszewki dzieciństwa, z czasów, gdy wróżka Maria zdradzała sekrety kolejnych dni wiosny, kiedy jako dziecko we wszystkich małych sprawach byłem jednomyślny, gdy w pokoju zabaw lśniło skrzydło na dywanie, rozłożone niby tron opustoszały. Bawiliśmy się we dwóch polukrowanym białą bejcą, rozklekotanym samolotem, a wszystko, co nieprawdziwe, wpadało pod topór zabawy. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem rozciągnięty na ścianie kręgosłup światła, najprawdziwszy z prawdziwych gejzer rzeczy okradzionych z fałszywego blasku.

Aby Państwo mogli sobie uzmysłować, do jakiej skali wydarzeń nawiązuję, przyniosłem na dzisiejsze spotkanie model samolotu Tu-154 w skali 1 do 144, jak przystało na ostatnie produkty Zvezdy, jest świetny. Doskonałe detale, idealna faktura, może trochę grubawe linie poszycia, które jednak znikają pod warstwą farby. Samolot składa się z 76 elementów o łącznej długości ponad 30 centymetrów, wyprasek bez nadlewek, o bardzo ładnych liniach wgłębnych. Modelu nie mierzyłem, nie ważyłem, ale wiem, że w pudle wygląda rewelacyjnie, a do pełni szczęścia wystarcza mi atrakcyjna cena 47 zł.

Zebrani na sali seniorzy przemówienie Romana odebrali jak odrobienie zaległego zadania domowego. Zastanawiano się, czy ktoś zaplanował tę wiosnę. Zastanawiałem się i ja. Wiedziałem już, że wspomnienia rosną od zimy do wiosny, ciągną się w stronę lata, ale ta wiosna wybuchła nagle i nieprzewidywalnie. Czy faktycznie do fragmentu tej wiosny już zawsze będzie można dodać jej nowszy fragment, który oświetli starszy, zagubiony wiosenny fragment albo pominięty jej główny wątek, który, być może, okaże się wątkiem ubocznym albo fragmentem wiosny kryjącym w sobie obcy fragment, inny?

Z rozmyślań wyträcił mnie uroczy świst i, gdy się ocknąłem, seniorzy zaczęli między sobą burzliwie wymieniać poglądy, a po wypowiedzianej kwestii wyciągali małe anteny, manifestacyjnie machając przy każdym wypowiedzianym słowie. Na sali aż świstało. Co zdanie, to pojedynek, co słowo, to armata. Biedni ludzie zaczęli spekulować, wersje katastrofy samolotu posypały się niczym ziarno z dziurawego worka.

– Traf chciał, że model Tu-154 miałem na warsztacie, kiedy nadszedł 10 kwietnia – powiedział pierwszy śmiałek. – W momencie gdy usłyszałam, że samolot się rozbił, zaczęłam strasznie krzyczeć, tak bardzo, że doznałam prawostronnego porażenia twarzy. Akurat Tupolew był całkowicie pomalowany i szykowałam go już pod kalki. Jak by nie patrzeć, wygląda na to, że model powstał pod wpływem katastrofy samolotu prezydenta. Ale prawda jest taka, że tak nie było. Wydawało mi się, że na miejscu zdarzenia las wyglądał jak otwarte pudełko z elementami samolotu nie do sklejenia. Jedno, czego nie jestem w stanie zrozumieć w samolocie, to okna. Mianowicie w kadłubowe otwory wkleja się części przezroczyste i szczerze przyznam, że nie wiem, po co.

– To po jasną cholerę tam lecieli, do wilgoci? Na bagienną glebę, która wciąga ludzi? – retorycznie zapytał najstarszy ze słuchaczy, pan Ludwik, pragnący od

zawsze wyjechać w egzotyczną podróż, która zawsze kończy się we wtorki i soboty na prelekcjach w Klubie Seniora. Zdaniem pana Ludwika, nie bez znaczenia był również fakt, że równocześnie z polskim Tupolewem rozbiła się inna lekka maszyna, która nie musiała być pilotowana, lecz mogła być zdalnie sterowana. Przecież skoro kwiaty zostały nienaruszone, to dlaczego zginęli piloci, którzy w tej samej kabinie się znajdowali?

– Na Boga, czy nie można czegoś zrobić, aby ożywić załogę? Zbadajmy, jak jeden z najsilniejszych samolotów świata utracił skrzydło po uderzeniu w 40-centymetrową brzozę. Wiele części jest dziwnie czystych, jakby spadły pionowo z góry, i nie ma na nich śladów turlania się w błocie – najwinnie kontynuował pan Ludwik.

– To niemożliwe – zauważył ktoś inny. – Przecież nie raz ich ostrzegaliśmy. A oni twardo swoje. Zachciało się im wracać do przeszłości.

– Moim zdaniem, kierunek, jaki wyznacza to drzewo, jest symptomatyczny. To efekt uboczny ciągłego zezowania na stare. Gdy przed laty przymierzałem się do sklejenia kartonowego samolotu w wersji, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, „prezydenckiej”, to wówczas udało mi się nabyć model w wersji Tu-154 B-2. Czy ktoś z Państwa orientuje się, czy są jakieś różnice pomiędzy wersją B-2 a M? – usłyszeliśmy nieśmiały głos z głębi sali.

Na sali zapanowała cisza. Kwestie zmiany malowania były powszechnie znane i nikt nie kwapił się poruszać na forum tej oczywistości. Wiadomo było, że najpierw należy skleić kadłub, silniki i stateczniki, aby następnie nanieść ołówkiem zmiany w przebiegu kolorowych pasów.

– Różnice są, i to dobrze widoczne – głos zabrał pan Edward. – Przede wszystkim silniki i ich gondole. Najbardziej różnią się systemy odwracaczy ciągu i charakterystyczny wylot silnika środkowego wyglądający w B-2 jak dziób, podczas gdy w M jest ścięty na płasko. Zbadajmy, jak jeden z najsilniejszych samolotów świata utracił skrzydło po uderzeniu w 40-centymetrową brzozę. Wiele części jest dziwnie czystych, jakby spadły pionowo z góry i nie ma na nich śladów turlania się w błocie – zakończył swój wywód.

– Na skrzydle są ślady kul wymierzone w tak zwany flap, który jest najważniejszy przy lądowaniu. Biała postać imitowała śmigło podczas ostrzegania nagrywającego i musiał to być ktoś z załogi, ktoś musiał mieć taki nawyk we krwi – przytomnie zauważył inny senior.

– A drewniana budka? Znam osoby, które pracowały w lotnictwie i które wiedzą, jak domowym sposobem wytworzyć mgłę, od której już pies i dziecko mi kaszlą. Wystarczy na dowolną wiązkę sygnałową nawinać cewkę, przyłożyć zmienne napięcie – i urządzenia głupieją. Poza tym wiele części samolotu jest dziwnie czystych, jakby spadły pionowo z góry, i nie ma na nich śladów turlania się w błocie. Całe działanie mainstreamu skupia się teraz na tym, aby wersja o zamachu stała się wytworem paranoików i chorych psychicznie. Czy nasza, pozał się Boże, ślepa i głucha prokuratura nie widzi na drzewach nóg naszych rodaków? – rozkręcił się pan Ludwik.

– Dosyć! Stop! – Roman przerwał rojenia seniorów. – Wszystkim wam się wydaje, że przeszłość jest nasza, że jesteśmy w stanie modelować przeszłość jak leżące w tym kartonie elementy samolotu. Na co dzień wydaje się wam, że posiadacie patent na przeszłość, że przeszłość jest jak rzecz zakupiona w sklepie. Ale nic bardziej błędnego. Mylicie się.

Po słowach Romana zapadła cisza. Ale stało się również coś innego, mianowicie, ku powszechnemu zdumieniu, oczy zebranych ujrzały dwóch generałów. Mężczyźni stali jak dwa martwe dęby wyrwane z gleby i przypominali przemoknięte wały przeciwpowodziowe. Najwyżsi rangą oficerowie Wojska Polskiego byli wpatrzeni w ślepy los odbijający się teraz od łuszczącej się lamperii Klubu Seniora, stali na parkiecie jak po przegranej bitwie, wystawieni na łup obcych spojrzeń.

Po krótkiej przerwie Roman wydobyl ze swojej aktówki niewielki klaser, z którego wyciągnął zdjęcia zrobione w miejscu katastrofy. Zobaczyliśmy strach, mrok i rozrzucone na wietrze warkocze twarzy. Zobaczyliśmy, jak groźna wiosna potrafi rozkołysać metal.

– Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem – powiedział pierwszy generał, promieniujący łagodnością raczej rzadko spotykaną w armii.

– Czego nie rozumiesz? – zdziwił się drugi generał, a jego wielkie uszy i wysoko zawieszona na barach głowa ani drgnęły.

– Jeszcze nigdy nie słyszałem tak dziwnej historii. Tylko w Rwandzie zdarzyło się coś podobnego. Nie wiem, może się mylę, ale tylko w Polsce i Afryce spadają prezydenci. Ten człowiek twierdzi, że wszystko widział. Mówi, że jest miejskim przewodnikiem. Ale i on nie mógł widzieć tak dziwnej historii. Teraz każdy zna się na katastrofach jak na piłce nożnej. Wiem, że widział pan wojny, głód i wypadki kolejowe. A co pan wie o tym zdarzeniu? – zapytał przewodnika generał.

– To historia, która nie jest podobna ani do pana, ani do pana, ani do tego, co kroczy przed waszymi cieniami. Widziałem wielu ludzi ginących jak muchy, ale nigdy nie słyszałem tak dziwnej historii. Chyba ostatecznie straciłem wiarę w duszę ludzką – rzeczowym tonem odpowiedział przewodnik.

– Tylko, proszę, bez mentorstwa, nie teraz, gdy tak stoimy tutaj od dawna. Nogi mnie już boją.

– Wysłuchajcie mnie do końca. Może zrozumiecie coś więcej z tej wiosny – odparł Roman.

– Ta historia będzie kolejnym kłamstwem – generał nie dawał za wygraną.

– Nawet jeśli tak będzie, to prawdą jest, że ludzką rzeczą jest kłamać. Najczęściej nawet nie potrafimy być szczerzy wobec siebie. Właśnie przez to, że ludzie się boją, okłamują nawet samych siebie – celnie ripostował miejski ślepiec.

– Możliwe, ale proszę, tylko nie następne kazanie. Nie obchodzi mnie, czy jest to prawda. I zgoda, ludzie używają łez, aby innych osłabić, i ogłupiają nawet

samych siebie, ale nie wierzymy w przypadkowe opowieści – odbił piłeczkę generał.

– Jak usłyszycie historię zabitego, to będziecie inaczej śpiewać. Już nie raz karmiłem duchy z ręki jak wygłodniałe wróbelki – tymi słowami Roman zaskoczył wszystkich i w jednej chwili zebrani zamarli.

Z prawej strony salki wyłoniła się czarodziejka Ewa i dobra wróżka Haneczka. Stłumione światło było nieżywe, a przyćmione żółcią 40-watówki świeciły już od niechcenia. Chór znajomych Romana stał niecierpliwie, wszyscy: kucharki, szatniarki, emerytowani pracownicy sektorów fabrycznych, pracownicy sklepów rowerowych, emigranci. Panie z magla roznosiły na tacach kawę, marszczące się jabłka i wklęsłe pomarańcze. Panowie popalali tanie papierosy, co powodowało, że w lokalu robiło się jeszcze bardziej nieznośnie. W jednej chwili dla wszystkich zebranych okazało się oczywiste, że wieczorek w Klubie Seniora nieoczekiwanie przerodził się w pokątny seans spirytystyczny. Było to spore zaskoczenie, gdyż z reguły seniorzy na wieczorkach czwartkowych słuchali prelekcji, aby za niedługą chwilę potańczyć w rytmie starej muzyki, prowadzonej przez jedyne w kraju wodzireja retro. Głos zabrał ponownie Roman, niejako się tłumacząc:

– Proszę państwa, mam kontakt z „drugą stroną”, a swoje intuicyjne szeptu ducha widzę w energetycznych formach i wówczas pojawia się obraz podobny do kamery termowizyjnej. Widzę lądy, morza i ludzi, a zagrożenia i katastrofy określam w postaci kolorowych plam. Korzystam też z rycin i atlasów anatomicznych, które pojawiają się spontanicznie. Szczątki maszyny i ciała były pokryte zawiesiną. Słyszałem tylko dźwięk podobny do tłuczonego szklanego termosu. W złowieszczej ciszy w kieszeniach zabitych dzwoniły telefony komórkowe wygrywające poloneza Ogińskiego, pełnego wigoru krakowianka. Ciała nie miały głów, albo też głowy pasażerów były zgniecione, a kości twarzy zmiażdżone. W całości widziałem tylko jedną młodą dziewczynę.

Po słowach przewodnika generał nie wytrzymał i wybuchnął:

– Ale prezydent nie żyje! Jak może nam coś opowiedzieć?

– Przemówi przeze mnie – odparł Roman.

– Jak to?

– Jestem medium. Poruszam się w czasie – spokojnie tłumaczył Roman.

– I co z tego, to również będzie kłamstwo, ale innego rodzaju. Opowieść ducha też będzie kłamstwem – nie dawał za wygraną generał.

– Martwi nie kłamią – wykrzyknął wzburzony przewodnik.

– Człowiek zawsze kłamie, nawet gdy już nie żyje. Czy istnieje ktoś, kto nie kłamie? Może prawdą człowieka jest jego fikcja?

– Panowie – Roman mówił teraz specyficznym tonem – człowiek po prostu chce zapomnieć o złych rzeczach, a pamiętać tylko o dobrych. Tak jest łatwiej. Posłuchajmy teraz opowieści trupa – powiedział już od niechcenia.

Po tych słowach miałem pielgrzymkę myśli w głowie. Nie wytrzymałem i wyjrzałem przez okno. Z wysokości trzeciego piętra Klubu Seniora dzielnicą zagaściła się niczym w lasach deszczowych. Kaszłące tramwaje były głośne, zamiast ludzkiej mowy słyszałem bełkot, a dochodzące do moich uszu agresywne głosy mężczyzn pochodziły jakby z okopów, jakby front przewalał się przez miasto.

Spojrzałem na Romana i zajaśniało mi w głowie, że nigdy w życiu na obliczu mężczyzny nie widziałem tyłu odcieni brązu. Brązowo zmatowione włosy, matowe słowa i w dodatku brązowe buty na wysoki połysk. Sweterek w paski o wielu odcieniach brązu tonował dodatkowo brązowy profil przewodnika. Ale najciekawsza była dysproporcja, jaka zachodziła między jego wielkimi, jakby z pola wykopanymi dłońmi, które na tle małego korpusu wydawały się dłońmi drapieżcy. Na mahoniowym parkiecie ujrzałem ducha króla, który usiadł na krześle, w złotej koronie na głowie, z berłem, cały w czerwieniach i zwrócił się do zebranych.

– Jestem teraz w ciemnościach. Cierpię. Niech będą przekłęci ci, przez których trafiłem do tego piekła! Teraz muszę zatroszczyć się o własny los. Wokół było cicho. Usłyszałem, że ktoś płacze – oznajmił z ciemności duch.

– Kto płakał?

– Wszędzie panowała cisza. Jakże cicho było. Nagle słońce zaszło. Ciepło przeplatało się z zimnem, stan, kiedy widziałem przekłete spojrzenia i błogosławione obrazy, kręgi, które być może są jasnością. Poczulem w sobie uduchowienie. Leżałem tam nieruchomo. Nagle ktoś się do mnie zbliżył i zaczął się przyglądać temu, co ze mnie zostało. Ten ktoś delikatnie wyjął sztylet z mojego serca – wyszeptał duch.

– To nieprawda! W miejscu wypadku nie było sztyletu. Zginąłeś w katastrofie lotniczej – spokojnie powiedział Roman.

– Robi się interesująco – dodał generał.

– Jako król nie chciałem się w to wplątać.

– Nam możesz powiedzieć prawdę. Twoja wersja zdarzenia zapewne będzie najciekawsza – zaczętnie stwierdził drugi generał.

– Już nie chcę tego słuchać. Wystarczy już strasznych historyjek. W ostatnim czasie to bardzo popularne opowieści – powiedział jeden z seniorów i opuścił salę.

– Słyszałem, że nawet demon żyjący tutaj, nad Wisłą, karmi się strachem ludzkim – król rozpoczął swoją opowieść.

– Królu, powiedz nam, dostojnym językiem, jak potrafisz, swoim królewskim językiem, bez roztrząsania, czy to przekracza naszą zdolność rozumienia? – prosił generał.

– To jest jak częściowa obserwacja własnych nawyków, gdy widzisz, jak brud powoli przesiąka przez skórę i zmienia przyrodzone barwy mięsa. Tego się nie da powiedzieć, przełożyć, tych szczegółów żaden język nie wypowie. Nigdy nie uwierzycie, jak człowiek szybko spada. Zawsze przypuszczałem, że

wiecznie będę ze sobą, raz na zawsze – wyznał duch.

– Królu, nie możesz tak folgować swym groźnym rojeniom. My oczywiście wiemy, jak było naprawdę – zabrział litościwy głos przewodnika.

– To sięga już poza moje sumienie. Ta historia zżera mnie jak rak. Już w tamtej chwili wiedziałem, jak wy to przyjmiecie. Nie możecie się pogodzić z tym faktem i dlatego wierzycie, że bredzę. Nawet teraz, gdy mnie nie ma. Lecz to nie ja jestem chory, to chory jest świat, w którym żyłem. Teraz boję się tej chwili, w której na zawsze zostałem schwytany. Już w dzieciństwie lękałem się naglego zdmuchnięcia wszystkich możliwości. Jestem królem śmierci.

– A ja jestem strażnikiem życia – odparł Roman. – Wiem, co chcesz nam powiedzieć. Tego nigdy nie zaznałem, ale twoje doświadczenia, dla nas nieludzkie, mogą być i dla ciebie złudzeniami. Ale też wiem, że gdy samolot tylko przekroczył granicę powietrzną kraju, wszyscy członkowie tego feralnego lotu, jakby na rozkaz, jakby na jedno magiczne zaklęcie, odwrócili się za siebie. W tej samej chwili 60 ton żelazta przygniotło pasażerów do ziemi. Kontynuuj, królu, swoją opowieść.

– Wiem, że moja decyzja zapada w trudnym momencie, że powziąłem słuszną decyzję. Nie wiem natomiast, dlaczego doszło do mojej decyzji, ale wiem również, że musiała od dawna we mnie dojrzewać. Jestem wciąż oszołomiony. Wiedziałem, że musimy lecieć.

– Dlaczego?

– Nie mam w tej sprawie dokładnych wskazówek – tłumaczył zebrany duch.

– Kilka dni przed śmiercią miałem lęki, które najczęściej nachodziły mnie w półśnie. Tworzyły coś na kształt żelaznej kurtyny, bezlitośnie opadającej na wszystko, o czym pomyślę. Ten stan mogę porównać jedynie do niewidocznej pajęczyny, ciężaru mierzonego lekkością samej pajęczyny. Zauważyłem wówczas, że w takich chwilach nie mówię swoimi słowami. W chwilach zmęczenia było nas zawsze dwóch.

– Co mówili piloci?

– Mówili, że są kłębkami nerwów, że źle się czują. Mówili: „Mów do mnie, mów. Dlaczego nigdy nie mówisz? Co myślisz?”. Mówili: „Myślę, że jesteśmy na szczyrzej alejce. Co to za hałas? Co ten wiatr wyrabia?”. Nie rozumiałem ich słów. Mówili: – Panie kapitanie, nie chcę porównywać się do nocy. Co mam robić? – Napisz list, na adres stary. Nie patrz w pustkę. Nie oglądaj się tam! Nie zapominaj, że reprezentujesz frakcję ucieczki przed życiem. Tutaj rozmowa się urwała. Nic więcej nie pamiętam – tak mówili.

– Z tego wynika, królu, że odbierałeś świat jak mój kot, który wszystko widzi inaczej i do góry nogami. Twoja wersja historii jest jak łyk czarnego mleka przyprószonego sadzą z pieca – generał podsumował słowa ducha.

– Nie chciałem wracać do przeszłości. Chciałem tylko zobaczyć ją w chwili zagłady. Odkąd żyłem wśród kotów, obcowałem również z ich obyczajem. Świat zawsze widziałem z innej strony niż rzeczywiście. Czy pan wie, czym są kocie zamyslenia? – zapytała się zjawia.



– Spekuluje się dzisiaj, że wydałeś rozkaz, niefortunnie się myląc, a twoja miarka pazerności na przeszłość się przelała. Chcieć oglądać przeszłość to tak, jakby życzyć sobie jej powrotu. Do Wisły nie wchodzi się dwa razy. Czy twoja, królu, nieposkromiona chęć wolności nie doprowadziła do tego, co nazywamy dzisiaj tragedią? Czy twoja postawa jest jeszcze ludzka, skoro sięgasz tam, gdzie prawo nie sięga? Wchodzenie w przeszłość to największe ryzyko pod słońcem, wiem coś o tym. Prawda historyczna nie istnieje i jest fikcją – zaznaczył Roman.

– Przecież historię własnego kraju wszyscy znamy, a ja w szczególności. Jest piękna i szlachetna. Jakie można jeszcze odkryć w niej tajemnice? – duch bronił swoich racji.

– Tak to już jest, że lepiej nie porównywać się do nocy. O przeszłości najlepiej zapomnieć, wówczas jest szansa, aby szanować przyszłość. Próba prostowania przeszłości to jak kamieniowanie cienia. Jest to efekt pana historycznego myślenia, efekt uboczny odwracania się za siebie. – Roman jak w transie kontynuował swój wywód: – Ostrzegaliśmy cię, królu, nie raz, nie dwa, abyś tak nie tęsknił za przeszłością wbrew logice. Nie słuchałeś tradycji, która nie trwa w tęym bezruchu. Skamieniałeś za życia, królu drogi. Przed nami przemawiasz jak nic. W niczym stoisz jak król bez oddechu, a nicość stoi wobec ciebie, króla. Nic jest równie bezradne, co król, którego już nie ma. Czy nicość bez króla jest jeszcze nicością? Czyż nie wiedziałeś, że tak szaleńcza chęćka wyrok śmierci znaczy?

– Nie chciałem się czuć jak pakunek, o lądowaniu chciałem sam decydować – lapidarnie stwierdził duch.

– Królu, żyjemy w społeczeństwie, w którym obowiązują pewne zasady – zaczął generał. – Nie można tych zasad nadużywać ani lekceważyć. Skoro ostatnio się mówi, że w naszym kraju rządzą trumny, a co za tym idzie, duchy, a ostatnio twój duch, królu... – generał wykrztusił z siebie słowa, które już od dawna uwierały mu przetyk. Już wiedział, że takiej władzy należy złożyć wypowiedzenie, a teraz chciał w imieniu wszystkich zebranych uwolnić się od dyktatu duchów, które, jego zdaniem, należy potraktować z całą stanowczością, ostro i po ludzku.

– Słucham? – duch króla niedowierzał tym słowom zuchwałym.

– Mówię o kodeksie. Jeśli ludzie, którzy mną rządzą, nie wypełniają swoich obowiązków, to mogę wówczas wypowiedzieć im posłuszeństwo – kontynuował generał. – To znaczy, że przekroczyłeś swoje uprawnienia, nie dotrzymałeś warunków umowy społecznej i nadużyłeś naszego zaufania. Jeśli, królu, ludzie, którzy rządzą, łamią te zasady dla swoich doraźnych zachcianek, naruszają prawo, co uczyniłeś, królu, lecąc pochopnie tym samolotem. Teraz, po czasie, wypowiadamy Ci posłuszeństwo. Skoro naruszyłeś wszystkie możliwe procedury, skoro spowodowałeś tyle płaczu, wreszcie skoro ograniczyłeś naszą wolność poprzez nieprzestrzeganie norm wolności, skoro doprowadziłeś w imię własnego widzimisię ideę nieskrępowanej wolności do granicy życia,

z życiem się nie licząc, wypowiadamy Ci posłuszeństwo, nasz duchu. Nie masz już prawa nas, mnie, nikogo reprezentować – generał patetycznie zakończył swój monolog.

– Ze łba mego zrób sobie latarkę – stwierdził duch. – Musimy potrafić cierpieć więcej. Czy to mało dla was? Czy to mało, że jesteśmy rzeką krwi? Aby być wolnym, należy żyć na granicy życia, zresztą to rodzaj zakładu z losem, który zarządziłem przed wylotem.

– Stop, stop, stop. Tego nie da się słuchać – nie wytrzymał drugi generał. – To tak, jakby w ogródku zasadzić trupa i czekać, aż coś z niego wyrośnie. Nie, tak nie można. Królu, to źródła anarchii. W imię fałszywie pojętej wolności fałszywie interpretowałeś przeszłość.

Duch króla, zanim zniknął, opowiedział zebranim jeszcze o agregatach ciepła i zimna, o kręgach, przeklętych spojrzeniach i błogosławionych obrazach, które być może są jasnością. – Teraz wstydę się tego, co powiedziałem. Nie zrozumiałem własnej duszy – brzmiały ostatnie słowa ducha.

– Panowie, ale musi istnieć jakiś inny sposób mówienia. Przecież tak dalej być nie może. Musimy, że tak powiem, pojąć się wzajemnie i dojść do porozumienia – ponownie głos zabrał Roman, który po seansie wyraźnie był wyczerpany.

– Pana słowa należy wyprostować, gdyż są jak splątane druty – metaforycznie zaczął generał. Pana słowa są kłębowiskiem możliwych interpretacji, wątków i poszlak, zahaczających o wszystko, co niemożliwe. Mam wrażenie, że dopiero w chwilach, gdy nie potrafimy się pojąć, zaczyna się nasza rozmowa. To bariera, która odgradza nas od codzienności.

– Uważam, proszę panów, że to, co się dzieje teraz w naszym wspaniałym życiu społecznym, można określić mianem benihilacji. Kojarzy mi się ten fakt i z Bennym Hillem, ale i z przeróbką narodowego nihilizmu. To są dwa równoległe procesy, choć benihilacja sztuką nie jest, to nieco rozjaśnia źródła, do których się odnosi. To, że jestem przewodnikiem mieszania tropów, płątania uroczego z ważnym, błędnym z mrocznym, jeszcze o niczym nie świadczy. W tej historii pewne jest tylko nic – bronił się przewodnik.

– Proszę nie ruszać moich myśli, dobrze? Czy pan sądzi, że do końca wierzę w to, co właśnie przed chwilą mówiłem? Teraz, w nocy, odczuwam silną potrzebę rozmowy, wyjaśnień. Ale może to tylko sen, że tutaj stoimy i rozmawiamy. Skoro sprawy zaszły tak daleko, skoro chcemy inaczej, to spróbujmy nie udawać. Spróbujmy sobie wytłumaczyć to, o co nam chodzi. W przeciwnym razie nigdy pan nie zrozumie nocnych oparów bijących z kanalizacji, a co dopiero to, o czym teraz mówię. Nie zna pan tej ciszy, która z rana pod czołem huczy – te słowa były zaskoczeniem i nie przystawały do generalskiego żargonu.

– Panowie, zapomnielibym zapytać, jak długo tak tutaj stoicie? – Roman starał się rozluźnić atmosferę.

– Będzie tak od Piastów – uśmiechnął się generał.

– Stanie to nasz ideał życia, a czekanie jest najpełniejszą formą stania – zwięźle +

wyłuszczył swoje poglądy drugi generał. Czy wyobraża pan sobie Piasta Kołodzieja w ruchu? Nie, no właśnie! Gdyby Piast Kołodziej był mobilny, jak to się dzisiaj mówi, toby nie był Piastem Kołodziejem. Dzięki staniu żyjemy. Przestoiśmy wszystkich. Nasze stanie jest światowe, jesteśmy prekursorami stania. Mistrzami zastygnięcia w raz obranej pozie. Stasiu, jak długo się znamy?

- Będzie tak chyba od Piastów. Co zrobimy z tym czasem?
- Przemysłimy wszystko wzdłuż i wszerz. Wszystko od nowa, jak za Przemysłodów.
- Tylko mi nie mów, że pochodzisz z Przemysła!
- Kiedy się zapolszczyłeś, bracie?
- Gdzieś za Piasta Kołodzieja! Znicowaliśmy się, Stasiu.
- A wydojrzejemy?

Bolały mnie już nogi. Przykucnąłem i wtuliłem się w rozmowę generałów, z niedowierzaniem słuchając każdego ich słowa.

– To zależy, że tak powiem, od okoliczności. Ciągłe czuję las, błoto, wilgoć, polowanie. Jesteśmy mistykami stania i dlatego większość z nas ma depresję. Szczególnie po tej dziwnej katastrofie jest nas mniej niż więcej. Opowiadam ci teraz tylko o tym, co widzę. O czasach starszych niż piastowskie, o ciemności, z której się wywodzimy, której nie widać, a która jest jednak obecna. To sytuacja sprzed nas.

– Tak, czekanie to nasza specjalność. Zawsze musimy coś przestać. Najpierw przestaliśmy chrześcijaństwo, różne rewolucje przemysłowe, nawet koniec feudalizmu przestaliśmy. A wiesz, dlaczego tutaj stoimy? No, wiesz? Bo lubimy celebrację. My lubimy rzeczy stałe! Niezmiennie historie, niezmiennie dekoracje.

– Macie, panowie, poczucie humoru. Sądzę, że jesteście rzemieślnikami stania. A na kogo czekacie? – Roman był już wyczerpany wielogodzinną wędrówką po czasie, mówił już niewyraźnie.

– Pan się myli. Jest pan w błędzie. Jesteśmy arystokracją. Ostatnimi niezależnymi arystokratami. Czekamy na przyłot prezydenta!

– Naprawdę macie, panowie, poczucie humoru – szepnął ostatkiem sił przewodnik.

– Mamy, proszę pana, poczucie honoru. Jak nasz patron, ułan nad ułanami, Wieniawa-Długoszowski. Jak pan zapewne pamięta, był to człowiek, który znał sześć języków, był generałem służb specjalnych słynącym z 30-sekundowych pojedynków, zawsze kończących się celnym uderzeniem w ucho. To była, proszę pana, postać! Cóż mogę teraz powiedzieć? Myśli płaczą mi się w głowie i łamią jak zapalki. Nie pamiętam najprostszych nazw miejscowości, nazwisk ludzi, adresów i telefonów. Nie czuję się w tych warunkach na siłach reprezentować armię. I prawdę powiedziawszy, mam wszystkiego dość. Nie żałuję niczego, odejdę spokojnie. Wiesiu, zaśpiewam ci Szwoleżerski spleen.

Bo trzeba nas zrozumieć, mnie i mój niepokój  
 Jak się we dwójkę rwiemy do rzeczy niezwykłych,  
 Do zjawisk, które zanim powstały, już znikły,  
 A i serce – przepraszam – także na coś czeka,  
 Jak serce szewca, krawca, prostego człowieka  
 I ma prawo prywatne szczęście mieć na oku.

Czy dziw, że nam publiczność w kawiarniach obrzydła,  
 Czy to dziwota wielka albo wielka wina,  
 Że nie starczą nam radio i kina?  
 Mogę i ja, choć jestem rzetelny szwoleżer,  
 Tęsknić, aby mój kasztan porósł nagle w skrzydła.

A wówczas, wyczekawszy na pierwszą okazję,  
 Przy zorzy księżycowej albo ranem złotem  
 Ponad chmury wyskoczyć takim samolotem  
 I z wichrem planetarnym puściwszy się w taniec,  
 Gonić na koniec świata, dalej – na złud koniec,  
 Swą własną zwariowaną ścigając fantazję.

– Co robimy?

– Idziemy.

– Może zapalimy?

– Tak, zapalmy.

– Samobij?

– Nie ma wyjścia! To heca, wstyd i hańba.

– Wiesz, że lemingi prą do samobójstw? Jest to podobno przypadkowa śmierć ptaków, które wskutek różnych okoliczności nie są świadome tego, że giną na skutek zrzędzenia losu. Jednak w naszej kulturze funkcjonuje w odniesieniu do lemingów określenie „masowe samobójstwo”. Samobójstwo jest zawsze wytworem wyobraźni i pójdźmy jej tropem. Jak nasza Wanda, która kochała tak Polskę, że aż z tej miłości wolała się utopić, i był to chyba najbardziej honorowy w dziejach kraju skok do rzeki. Patriotyczny skok do wody! A nasz Popiel? Może on był pierwszym założycielem samobójstwa głowy jeszcze nie państwa?

– Albo pierwsze królobójstwo.

– Pamiętasz, co Piłsudski mówił o ptactwie? Zapomniałeś już? Przeczytam ci mój ulubiony akapit Piłsudskiego, który zawsze noszę w tylnej kieszeni spodni – skupiony głos generała zabrzmiał jak głos z ambony, jak przyproszone kazanie w upalne popołudnie:

„Jeżeli powrócę do swoich wspomnień myśliwskich, to powiedziałbym, że społeczeństwo polskie przypominało mi zawsze kacze towarzystwo, zbierające się w rodzinnym błotku. A że kaczkę są żarłoczne, więc wyjadają koło siebie +

prawie wszystko... Siedząc podczas zórz na zasadzce w oczekiwaniu przelotu ptaków, wyobrażałem sobie zawsze, że na pewno w rodzinnym błotku kaczki gdakają nie w inny sposób, a w taki: «Wylecieć trzeba ani za wcześniej, ani za późno. Ten, kto wyleci wcześniej, zginąć niechybnie musi». Oto rozum stanu, najmądrzejsza prawda, jaka istnieć może”.

– Ależ to dziwne. Zobacz, jak bardzo w cywilnej literaturze przedmiotu zadowonione jest słowo latać.

– To jest jakieś narodowe zboczenie. Uprawiamy sami z sobą rodzaj masochistycznej gry. Czy to nie dziwne? Pochodzimy z lasu, a w lesie wydarza się taka historia? Ten samolot przypomina mi, z całym szacunkiem, panie Romanie, przewodnika miejskiego zabłąkanego wśród rozgałęzień arterii, ślepych uliczek, uliczek zaczętych, jak i tych pędzących w nieskończoność.

– Widzisz, tak tutaj stojąc, miałem sen, widziałem nasz narodowy kod DNA – taki trochę pokręcony łańcuszek, coś w rodzaju wykresu, gdzie zawarta jest cała przeszłość i przyszłość. Przypomina to wszystko serpentynę schodków, po których można się wdrapywać bez końca. Jest to proces zamknięty i podobno nieusuwalny. Śniło mi się nasze dno, nasza podszewka.

– Genotyp krainy?

– Tak, to jest nasz dar genów, który otrzymują najlepsi. To możliwość dotarcia do pierwszych Piastów – jak wyglądali, co jedli, jakie mieli poglądy i czy oby na pewno byli Piastami. A wtedy może się okazać, że Piast nie był Piastem. Że Piasta nie za wiele jest w Piaście i wtedy cały czar pryśnie, krajowy czar, nasz czar, zobaczysz. Znajdą kości jakiegoś pseudo-Kołodzieja i będzie po ptakach.

– Ale jaja będą?

– Jakies zbójcekie komiksy po nas będą. Pora na pytania do dalszej wędrówki.

– Panie, daj mi moc, abym wziął na siebie ze spokojem wszystko, czego nie mogę odmienić. I daj mi męstwo, bym mógł odmienić wszystko, co odmienić mogę. Daj mi też mądrość, abym mógł odróżnić jedno od drugiego.

– Skąd znasz takie zaklęcia?

– Przecież mamy karnawał. Ptaki latają do tyłu, a ludzie w nocy mówią sobie dzień dobry. Aguirre, Boży gniew i babcia z wąsami. Karnawał mamy od tysiąclecia. Co stulecie ciągły bal, a potem całe dziesięciolecia w dupie. Boże, jak ten czas zleciał!

– Niezłe kazanie. No, to do pierwszych Piastów! Ta historia z samolotem jest jak depesza, której nigdy się już nie otworzy, choć przechodzi z rąk do rąk. Wszyscy spekulują, knują, przypuszczają, ale boją się otworzyć kopertę, bo chcą się delektować faktem otrzymania wiadomości. Sama wiadomość jest mniej istotna, ba, w ogóle nie jest istotna.

– Nie potrafimy wyciągać wniosków. W rzeczy samej, mało myślimy i dlatego nie potrafimy wybierać między życiem a śmiercią. Nie wiemy, co to znaczy wytrącić się z życia. Chciałbym teraz rozstrzelać cały świat, puścić światu serię z karabinu maszynowego, zastraszyć świat wojennym gestem rozpaczy.

– Mógłbym teraz rozkazać ci popełnić samobójstwo. Tak zrobiłby prawdziwy mężczyzna i prawdziwy generał. Czekam na twoją śmierć, aż odejdiesz. A wtedy będzie to jedyny prawdziwy ruch w twoim życiu. Ale tak nie zrobisz, bo nie jesteś ani jednym, ani drugim.

– A ty jesteś prawdziwym mężczyzną?

– Też nie. Masz jeszcze coś do powiedzenia? Skoro nie, to już pójdę.

– Słuchaj, w tej chwili czuję się szczęśliwy. To jest niedorzeczne. Moja euforia jest zarazem pragnieniem pozbycia się tego, czego tak naprawdę pozbyć się nie mogę. To tak jakby koniec. Czuję teraz, jak szmer wwierca się w mój mózg. To rodzaj wątpliwości, niczym niewidoczna kulka, która przebije mi czoło. Pamiętasz, jak Potocki celebrował pilniczkiem do paznokci odpitowaną gałkę cukiernicy? Z gałką jadł, spał, chodził na spacer. To był gest mędrca, który wie, że musi odejść. Gdy uformował swoją srebrną kuleczkę na podobieństwo średnicy otworu lufy pistoletu, wiedział, że to jest koniec. Koniec wszystkiego. Wydaje mi się, że w tej chwili słyszę jego myśli, słowo za słowem widzę płaszczyzny nadchodzącej ciszy.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszałem tej nocy. Na sali rozległy się strzały. Dwa trupy generałów leżały na parkiecie, na trzecim piętrze Klubu Seniora, w Polskim Komitecie Pomocy Społecznej. Na generalskich ustach zauważyłem lepkie pęcherzyki krwi zmieszane ze śliną. Nieliczni zaczęli opuszczać pospiesznie salę, jak po przegranym meczu ulubionej drużyny. Ci, co zostali, mieli wzrok wbity przed siebie, z niedowierzaniem asystując własnym myślom. Na tle pororców, trzymając w prawych dłoniach spuszczone anteny, staliśmy się orszakiem żałobników rozczarowanych brakiem zabawy. Roman zastąpił rękoma swoją i w milczeniu wyszedł z sali.

Nikt z zebranych nie przypuszczał, że na Jasnej Górze, w osłonie nocy, przygotowano potajemnie nową suknię dla Matki Boskiej Częstochowskiej, a w kreacji znalazł się mały fragment skrzydła z rozbitego samolotu oraz dużo złota, platyny i setki brylantów. Ważąca ponad 30 kilogramów suknia podobno ciągle przybiera na masie, a Matka Boska stała się Matką Boską Odłotową.

Zebrałem te wiadomości, pozbawione szkieletu, głowy, ciała, ze względu na pośmiertny los króla i jego świty. Zbudowałem opowieść z wielu spekulacji, rojeń i nonsensów, jakie zagościły tej wiosny w umysłach ludzi żyjących nad Wisłą. Zarysowałem w tych kilku słowach obrazy docierające jakby zza porywistego wiatru, obrazy nieskończone, pochodzące z oddali, raz historyczne, uznane za prawdziwe, innym razem fikcyjne, uznane za intuicję duszy. Przecież każda historia jest i jej zarazem nie ma. Sekret w tym, aby groźna wiosna nie spłoszyła ludu.

PS. Czy ktoś mógł tak zaplanować wiosnę? Ta myśl ciągle krąży mi po głowie.

